

MAJA PAWLICKA

*Erotyczna opowieść o ludziach, którzy znaleźli
swoje ocalenie dzięki namiętności*

Zostań

Złamani #1

*Czy to, co ich do siebie ciągnie, wystarczy,
by uwierzyli, że warto zostać?*

Rebelle ♡

WYDAWNICTWO

Copyright© Text by Maja Pawlicka
Copyright© by Wydawnictwo Rebelde
All right reserved*
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE,
LESZNO 2025

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz @daj.mi.slowo
Korekta po składzie:
Jolanta Szalak @jolanta.szalak
Zuzanna Salagierska
Grafika na okładce:
Natalia Reszka @prostanataliareszka
Oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete
Skład i korekta techniczna:
Małgorzata Wiśniewska @fabryka.skladu.ksiazki
Druk i oprawa:
Opolgraf SA

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-14-2



Zostań

Ostrzeżenie:

Niniejsza książka zawiera sceny erotyczne oraz wątki mogące budzić skrajne emocje. Opisuje również motywy: gwałtu, samookaleczania oraz relacji, które nie wszyscy mogą uznać za słusne i które wzbudzają kontrowersje.

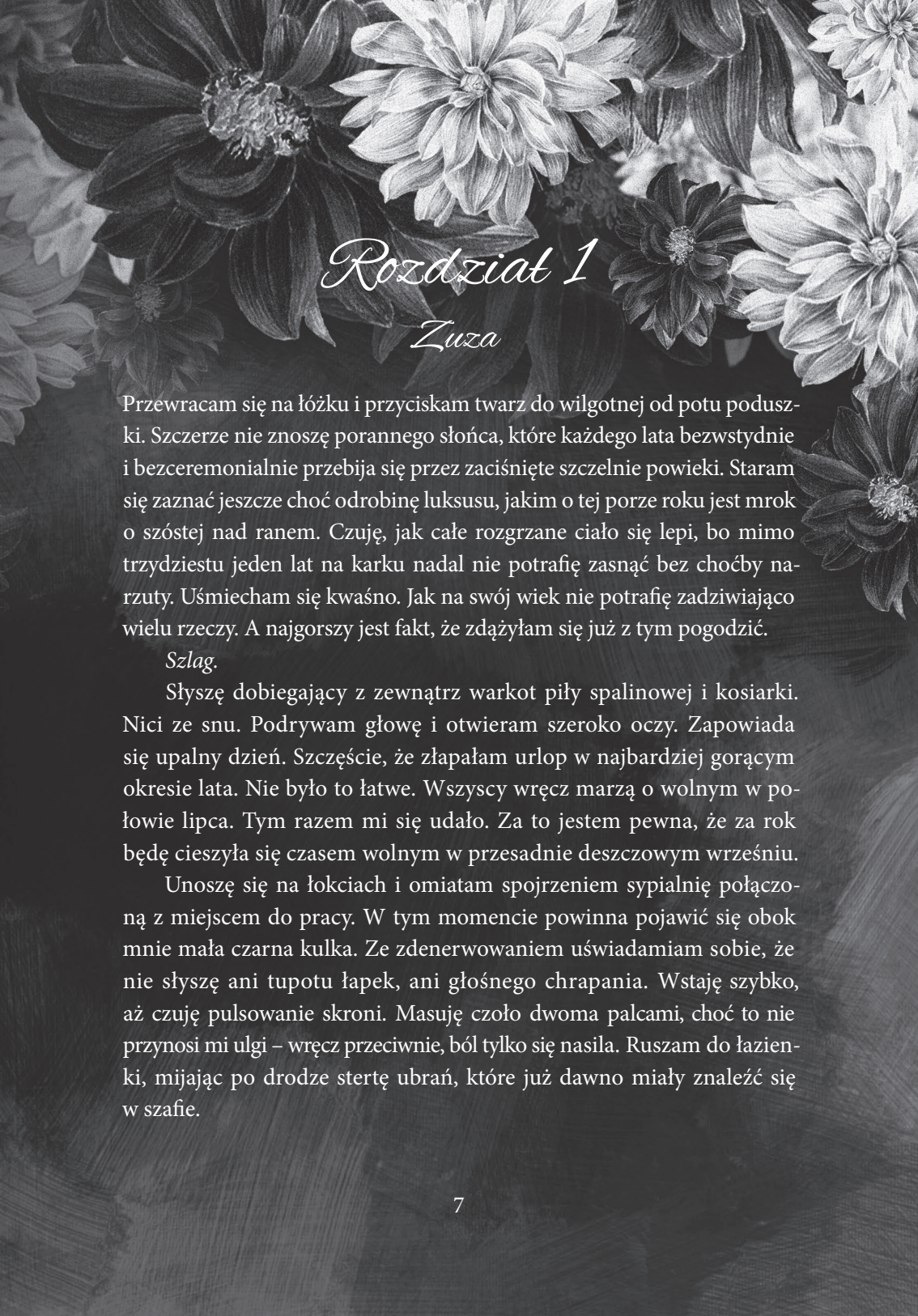
Przeznaczona jest dla dorosłych i dojrzałych czytelników.

Przedstawione wydarzenia i postaci są fikcją literacką. Autorka nie utożsamia się ze wszystkimi poglądami ani zachowaniami bohaterów i nie popiera działań, które mogą wzbudzać wątpliwości.



Dla tych, którzy zdecydowali się zostać...





Rozdział 1

Zuza

Przewracam się na łóżku i przyciskam twarz do wilgotnej od potu poduszki. Szczerze nie znoszę porannego słońca, które każdego lata bezwstydnie i bezceremonialnie przebija się przez zaciśnięte szczelnie powieki. Staram się zaznać jeszcze choć odrobinę luksusu, jakim o tej porze roku jest mrok o szóstej nad ranem. Czuję, jak całe rozgrzane ciało się lepi, bo mimo trzydziestu jeden lat na karku nadal nie potrafię zasnąć bez choćby narzuty. Uśmiecham się kwaśno. Jak na swój wiek nie potrafię zadziwiająco wielu rzeczy. A najgorszy jest fakt, że zdążyłam się już z tym pogodzić.

Szlag.

Słyszę dobiegający z zewnątrz warkot pily spalinowej i kosiarki. Nici ze snu. Podrywam głowę i otwieram szeroko oczy. Zapowiada się upalny dzień. Szczęście, że złapałam urlop w najbardziej gorącym okresie lata. Nie było to łatwe. Wszyscy wręcz marzą o wolnym w połowie lipca. Tym razem mi się udało. Za to jestem pewna, że za rok będę cieszyła się czasem wolnym w przesadnie deszczowym wrześniu.

Unoszę się na łokciach i omiatam spojrzeniem sypialnię połączoną z miejscem do pracy. W tym momencie powinna pojawić się obok mnie mała czarna kulka. Ze zdenerwowaniem uświadamiam sobie, że nie słyszę ani tupotu łapek, ani głośnego chrapania. Wstaję szybko, aż czuję pulsowanie skroni. Masuję czoło dwoma palcami, choć to nie przynosi mi ulgi – wręcz przeciwnie, ból tylko się nasila. Ruszam do łazienki, mijając po drodze stertę ubrań, które już dawno miały znaleźć się w szafie.

Gdy tylko dostrzegam Gałgana, szybko łapię za telefon. Jego oczy są zapadnięte, a z pyska leci piana. Dzwonię po taksówkę i słyszę, że ta może być za dziesięć minut. Nie mam tyle czasu. W panice wkładam szorty i byle jaką koszulkę, a potem wsuwam stopy w klapki. Gałgan wzdyga się lekko, kiedy biorę go na ręce. Wybiegam na klatkę schodową i jak najszybciej pędzę na dół. Kontroluję się, by nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, ale utrudniają mi to łzy płynące z opuchniętych już oczu. Wypadam przez oszklone drzwi i pakuję kundelka do koszyka rowerowego.

Ruszam, a mój płacz z pewnością słyszy całe osiedle.

Kiedy docieram do kliniki, Gałgan oddycha już w miarę regularnie. Sprawdzam, jak bije jego serce. Ruchy drobnej klatki piersiowej są ledwie widoczne. Wchodzę do chłodnej poczekalni i, nie zważając na niezadowolenie pozostałych oczekujących, wbiegam prosto do gabinetu naszej pani weterynarz. Ta rzuca okiem w kierunku psa, który stara się otworzyć oczy. Po dwóch minutach pobrana z jego malutkiej żyły krew łąduje w wirówce do badań. Pani technik zabiera go i podłącza kroplówkę. Nic nie mówię, tylko patrzę i płaczę.

Ta kudłata kulka to jedyne, co mnie jeszcze utrzymuje w pionie. Bo oprócz tego, że jako trzydziestojednolatka niewiele potrafię, to też zadrzewiająco mało posiadam. A z tego, co już mam, zdecydowanie najważniejsza jest właśnie moja dwunastoletnia znajda.

– Podaliśmy płyny. Zrobiliśmy USG – mówi pani doktor, a ja zastanawiam się, czy mogę zemdleć teraz, czy może poczekać do końca jej wypowiedzi. – Morfologia jest w miarę w porządku, jednak badanie biochemiczne świadczy o uszkodzeniu wątroby – ciągnie niezmordowana i w końcu zaczynam dostrzegać sens artykułowanych przez nią zdań. – Musimy wziąć też pod uwagę lekką niewydolność serca. – Wciąga głęboko powietrze. – Prawdopodobnie nie przeżyje kolejnej operacji. Jeśli ustabilizujemy jego stan, damy mu kilka tygodni lub miesięcy życia. Tutaj nigdy nie możemy niczego przewidzieć. Połączymy leczenie paliatywne z terapią przeciwbólową.

– Czyli sterydy? – pytam, a w moim głosie wybrzmiewa niezamierzone zniecierpliwienie. – Nie da się jeszcze czegoś wyciąć?

– Byłoby to ryzykowne.

– Dobra, to robimy, co się da. Już kolejny raz – dodaję szeptem tak cichym, że dociera on tylko do moich uszu.

Patrzę przez wycięty w drzwiach sali otwór. Podłączonymi do drobnego ciała Gałgana rurkami spływają leki. Nie mam pewności jakie. Wiem tylko, że jedną z nich płynie konieczna do przetoczenia krew.

– Proszę iść i coś zjeść. Zostawimy go na co najmniej dwa dni. Najlepiej, aby przyszła pani jutro, żeby się nie denerwował. Pozostaniemy w kontakcie telefonicznym i, jak zawsze, będziemy przysyłać zdjęcia Gałgana. – Na twarzy pani weterynarz maluje się łagodność i zrozumienie.

– Dobra. Tylko dam mu buziaka na pożegnanie. – Wchodzę do salki szpitalnej i wyciągam rękę, by pogłodzić tę moją kulkę nieszczęścia. – Do jutra, walczaku. – Pochyliłam się i całuję przyprószoną już siwizną główkę.

Nie zwracając uwagi na panujący dookoła rozgardiasz, przechodzę przez poczekalnię i wychodzę na zewnątrz.

Fala gorąca uderza we mnie, przypominając o upierdliwym bólu głowy. Spoglądam na rzucony niedbale na parkingu rower. Podnoszę go i podprowadzam do stojaka. Nie wydaje mi się, abym była w stanie teraz nim jechać i nie zrobić sobie przy tym krzywdy. Przez opuchnięte oczy ledwo co widzę. Rozsadzające głowę ciśnienie sprawia, że niemal niczego nie słyszę. Mrugam kilka razy. Wciągam do ust potężną dawkę powietrza, po czym – nadal zrozpaczona – ruszam przed siebie w pięciokilometrową wędrówkę do domu.

Zanim jednak dochodzę do przejścia dla pieszych, czuję, że ktoś łapie mnie za nadgarstek.

– Co jest? – Odwracam się z kwaśną miną. Ostatnie, czego mi teraz trzeba, to napastujący kobiety na odludziu zbok.

– Proszę.

Podnoszę wzrok na dźwięk niskiego głosu. Początkowo nie jestem jednak w stanie dopasować go do żadnej znanej mi osoby.

– Wyglądasz, jakbyś bardzo tego potrzebowała – dodaje, na co szeroko otwieram oczy, lecz zaraz przysmykam je nieznacznie.

Wstrzymuję oddech na krótką chwilę. Gdy wypuszczam zalegające w płucach powietrze, zadzieram brodę, by spojrzeć w dobrze znane, od lat niewidziane tęczówki. Od razu zauważam, że on również mnie rozpoznał.

Adam – myślę, starając się zebrać wirujące myśli i wypełniające głowę wspomnienia. Te, które miały pozostać schowane już na zawsze.

Rozedrgana i najpewniej cała purpurowa, unoszę twarz. Patrzę w zionące litością oczy dawnego znajomego, po czym mówię:

– Wbrew temu, co myślisz, nie gustuję w pigułkach gwałtu. – Okręcam się i ruszam, nie oglądając za siebie.

Po paru minutach marszu w cholernie niewygodnych, gumowych kłapkach odwracam się, aby zobaczyć, czy on za mną nie idzie. Kiedy upewniam się, że wszystko w porządku, wkładam w uszy słuchawki i odpalam ulubioną playlistę.

Znów przed oczami staje mi obraz leżącego na grafitowych płytkach Gałgana. Dziwię się, że jego stan tak bardzo mnie zaskoczył. Powinnam już dawno przygotować się na to, co miało nadejść. Co musi się w końcu wydarzyć. Po prostu przeraża mnie życie bez niego. Na samą myśl o samotności czuję, jak po policzkach znów zaczynają płynąć słone łzy. Mrugam kilka razy, jakby to miało odgonić smutek. Zmienić moją sytuację ze zjebanej w ciut lepszą. Za kilka tygodni znów zostanę sama.

A samotność to stan znany mi aż nazbyt dobrze.

Z zamyślenia wyrывa mnie ruch po lewej. Czerwony mini co-oper zwalnia. Odsuwająca się szyba powoli odsłania kierowcę, który zdaje się coś mówić. Postanawiam go olać i iść dalej. Ten jednak nie daje za wygraną i zajeżdża mi drogę, kiedy wchodzę na przejście dla pieszych. *No to tyle z ignorowania.* Wyciągam z uszu słuchawki i patrzę prosto w brązowe oczy.

– Skoro nie wzięłam kawy, to do auta też raczej nie wsiadę. Wydaje mi się to logiczne – bąkam pod nosem, wbijając wzrok w swoje pomalowane na niebiesko paznokcie u stóp.

Znów kieruję spojrzenie na drogę i próbuję wyminąć auto. Jak na takie maleństwo zajmuje strasznie dużo przestrzeni.

– Przestań już i wsiadaj.

Zgłupiał czy co? Niedoczekanie.

– Zuza...

I wtedy pulsowanie w głowie wraca. Kolorowe plamy przed oczami utrudniają widzenie. *Oddychaj.* Gorąca maska pali drżące dłonie, kiedy opieram się o nią, by nie upaść.

– Kurwa.

Jego głos dociera do mnie jakby zza ściany, przez którą nie może się przebić.

Potem nie słyszę już nic.

Adam

Przez dwanaście lat trochę jej się przybrało, co wyszło bez wątpienia na korzyść. Spoglądam w dół na bladą twarz. Długie rzęsy rzucają cień na nadal opuchnięte od łez policzki. Bładoróżowe wargi wydają się nieco węższe. Podrzucam Zuzę delikatnie, układając ją sobie wygodniej w ramionach. Na szczęście mieszkam na odludziu. Taszczenie nieprzytomnej kobiety do mieszkania w bloku mogłoby być ciut trudniejsze.

Przechodzę przez zapuszczony ogród i wchodzę do chłodnego przedpokoju. Po kilku sekundach odkładam ją na kanapę. Osobiście wolałbym łóżko, ale nie chcę, żeby po obudzeniu myślała, że porwał ją jakiś zboczeniec. Chociaż nie da się ukryć, że z boku sytuacja może tak wyglądać. Nie ma potrzeby jeszcze jej pogarszać.

Napełniam szklankę wodą i stawiam na stoliku obok kanapy. Dokładam jeszcze opakowanie ibuprofenu. Zamykam drzwi i wychodzę do ogrodu.

Wciskając dłonie do kieszeni szortów, zastanawiam się, co to za durny plan urodził się w mojej głowie. Kto jak kto, ale ja z pewnością nie jestem osobą, z którą chciałaby dzielić swój smutek. W klinice wyglądała wręcz na zrozpaczoną. Nietrudno się domyślić, że powodem był stan zwierzaka, z którym wbiegła, prawie taranując mnie po drodze. Nie jestem raczej przesadnie uczuciowy, jednak cierpiące zwierzę zdecydowanie może doprowadzić mnie do łez.

Chciałem zawieźć ją do szpitala, ale w drodze obudziła się dwa razy. Mamrotała coś pod nosem. Chyba nawet usłyszałem własne imię. Zadzwoniłem do matki, która poleciła przywieźć Zuzannę na SOR, jeśli zacznie wymiotować albo pojawią się zawroty głowy. Gdyby nic podobnego nie wystąpiło, znaczy że omdlenie zapewne wynikało ze stresu, głodu i pragnienia.

Schodzę po kamiennych stopniach, a gruboziarnisty żwir kaleczy bose stopy. Zamykam oczy i unoszę twarz w kierunku słońca. Przystaję na moment, po czym idę w stronę auta. Zastawia pół drogi, ku rozpaczcy sąsiada, który i tak już ledwo mnie toleruje.

Pomimo upływu dwunastu lat rozpoznałem ją od razu. Po reakcji na proponowaną kawę mogłem założyć, że ona również mnie poznała. Cudem gorący napój nie wylądował na moim ubraniu. Skoro uświadomiła sobie, kto ją zaczepia, trudno się dziwić, że nie chciała wsiąść do auta. Zareagowałem impulsywnie. Po tylu latach nagle stanęła przede mną, a ja pomyślałem... No właśnie, co? Że spojrz mi w oczy i od razu wybacz? Kurwa. Wpycham do ust trzy gumy do żucia.

Pierdolone rzucanie palenia.

Najwyższa pora obudzić Zuzę i sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Potem może spać do woli.

Wracam do domu. Ostrożnie stawiam stopy na chłodnej podłodze. Zatrzymuję się pod drzwiami salonu i słyszę odgłos szamotaniny. Naciskam klamkę i zbyt gwałtownie wpadam do pokoju. Widzę dziewczynę siedzącą na parapecie, usiłującą otworzyć okno. Gdy zauważyła mnie w progu, niemal przykleja się do szyby.

– Gorąco ci? – pytam, choć dobrze wiem, że próbowała uciec. – Daj, otworzę.

Podchodzę i chwytam klamkę. Jednym ruchem rozchylam drewnianą ramę na oścież. Zuza nagle sztywnieje, a jej twarz, zwykle blada, teraz wydaje się wręcz przezroczysta. Zeskakuje z parapetu, mija mnie i kiedy odwracam głowę, stoi już przy drzwiach.

– Gdzie ja właściwie jestem? – pyta podsztytym strachem głosem.

Po tylu latach jedyne, co potrafię w niej wzbudzić, to przerażenie.

– U mnie. Zemdłałaś i przywiozłem cię tutaj. Nie chciałem, żebyś leżała na środku drogi. To chyba normalne.

Jestem zdecydowanie zbyt głośny i przesadnie arogancki.

– Zajechałeś mi drogę. Zemdlałam przez ciebie. – Unosi dumnie głowę, a szare spojrzenie odnajduje moje oczy.

Strach ustąpił miejsca wkurzeniu. To dobrze. Nie chcę, żeby czuła się w moim towarzystwie zagrożona.

– Zresztą nieważne. Spadam. – Odwraca się i boso kieruje ku wyjściu.

– Zapomniałaś butów. – Podnoszę i podaję jej zielone klapki. – Niewygodnie będzie ci tak na bosaka. – Muskam palcami grzbiet ozdobionej kilkoma piegami dłoni. Cofa się energicznie. – Nie wiesz nawet, gdzie jesteś – dodaję, teraz już najspokojniej, jak potrafię.

– Nie twój problem.

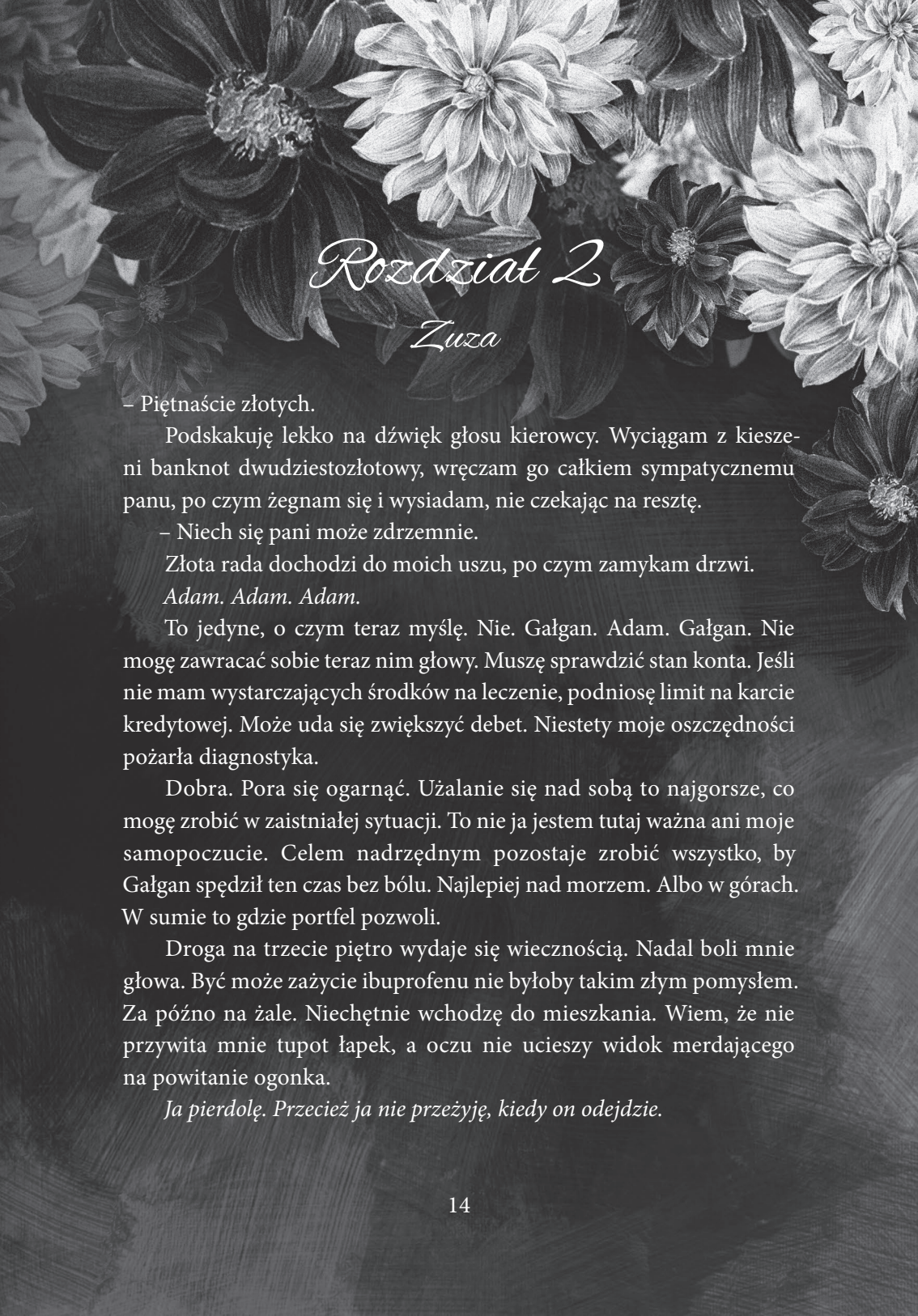
Znika za drzwiami. Podchodzę do okna i patrzę, jak wyciąga telefon. Wybiera numer, szuka adresu, aż w końcu podaje go – zapewne taksówkarzowi.

Nie idę za nią... Chociaż bardzo chcę.

Co miałbym jej niby powiedzieć? Przeprosić?

„Przepraszam za zjebanie ci życia”. Brzmi przekonująco?

No właśnie.



Rozdział 2

Zuza

– Piętnaście złotych.

Podskakuję lekko na dźwięk głosu kierowcy. Wyciągam z kieszeni banknot dwudziestozłotowy, wręczam go całkiem sympatycznemu panu, po czym żegnam się i wysiadam, nie czekając na resztę.

– Niech się pani może zdrzemnie.

Złota rada dochodzi do moich uszu, po czym zamykam drzwi.

Adam. Adam. Adam.

To jedyne, o czym teraz myślę. Nie. Gałgan. Adam. Gałgan. Nie mogę zawracać sobie teraz nim głowy. Muszę sprawdzić stan konta. Jeśli nie mam wystarczających środków na leczenie, podniosę limit na karcie kredytowej. Może uda się zwiększyć debet. Niestety moje oszczędności pożarła diagnostyka.

Dobra. Pora się ogarnąć. Użalanie się nad sobą to najgorsze, co mogę zrobić w zaistniałej sytuacji. To nie ja jestem tutaj ważna ani moje samopoczucie. Celem nadrzędnym pozostaje zrobić wszystko, by Gałgan spędził ten czas bez bólu. Najlepiej nad morzem. Albo w górach. W sumie to gdzie portfel pozwoli.

Droga na trzecie piętro wydaje się wiecznością. Nadal boli mnie głowa. Być może zażycie ibuprofenu nie byłoby takim złym pomysłem. Za późno na żale. Niechętnie wchodzę do mieszkania. Wiem, że nie przywita mnie tupot łapek, a oczu nie ucieszy widok merdającego na powitanie ogonka.

Ja pierdołę. Przecież ja nie przeżyję, kiedy on odejdzie.

Nie patrząc w głąb mieszkania, kieruję się od razu do kuchni. Tam dopadam do drewnianego chlebaka, z którego wygrzebuję pół czerstwej bułki. Przeżuwałam długo i głośno, po czym popijam lepką kulkę zimną wodą. Dokładam do tego ketonal i kolejny łyk wody.

Wyciągam telefon. Brak nieodebranych połączeń dobrze świadczy. W razie kryzysu już by dzwonili. W tym wypadku pusta skrzynka odbiorcza to dobry omen. Nie wytrzymuję jednak i wysyłam SMS-a z prośbą o informację w wolnej chwili. Po kilku minutach mam już na ekranie zdjęcie wyraźnie lepiej wyglądającego, ale nadal słabego Gałgana.

Przechodzę do połączonego z kuchnią małego salonu. Siadam na obitej szarym sztruksem kanapie i sięgam po pamiętający lepsze czasy laptop. Pora sprawdzić stan konta. Logowanie do banku chwilę mi zajmuje, ale po przeanalizowaniu wszystkich opcji już wiem, że na leczenie może i wystarczy, ale na wyjazd nie ma co liczyć. Trudno. Wzruszam ramionami. Ustabilizujemy go, a potem pomyślę, co dalej.

Rozglądam się po pustym mieszkaniu. Mam dziewięćdziesiąt dwie doniczki z roślinami, z czego co najmniej osiemdziesiąt potrzebuje podlania. Nie mam teraz siły tego robić. Przetrwały tydzień. Nie zaszkodzi im jeszcze dzień. Wyciągam dłoń i przyglądam się obgryzionym paznokciom. Myślałam, że pożegnałam ten nawyk. Dziś najwidoczniej nieświadomie do niego wróciłam.

Dochodzę do wniosku, że najlepsze, co mogę dla siebie teraz zrobić, to iść pobiegać. W drodze powrotnej kupię wino. Upiję się i zasnę.

Podchodzę do lustra, a w nim wita mnie trupio blada twarz. Sprawia wrażenie wręcz przezroczystej. Związuję długie włosy w niedbały kok. Zmieniam ubrania na wygodniejsze. Zostawiam w końcu cholernie niewygodne klapki, które zdążyły obetrzeć mnie już w trzech miejscach, a zamiast nich wkładam stare sportowe buty. Łapię w dłoń nerkę i wychodzę z domu. Lustro na każdym piętrze przypomina mi, jak niekorzystnie dziś wyglądam.

O dziwo na zewnątrz dosięga mnie powiew chłodnego wiatru. Rozpościeram ramiona i pozwalam owiać moje rozgrzane ciało. Po

kilku skłonach i wykopach ruszam w trasę. Nogi same prowadzą mnie pod klinikę. Wchodzę. Ponownie od razu mijam oczekujących i kieruję się w stronę pomieszczenia z małymi kojcami. *Ja pierdolę*. Zaciskam powieki, próbując powstrzymać łzy.

– Śpi. Podaliśmy mu silne leki. Zmiotły go, ale jutro powinno być dużo lepiej.

Adam.

Otwieram szeroko usta, łzy płyną już swobodnie. Czuję jego dłoń na ramieniu. Strącam ją, zupełnie jakby paliła czystym ogniem. Spoglądam, jak patrzy na Gałgana. Ma na sobie bordowy fartuch, jak inni lekarze.

– Nie wiedziałam, że tu pracujesz – bąkam, cały czas bacznie go obserwując.

– Od zeszłego tygodnia. Zresztą, jestem tutaj tylko w piątki.

– W takim razie wiem, na kiedy nie umawiać wizyt kontrolnych. – W duchu uśmiecham się na widok spokojnie śpiącego w kojcu przyjaciela. – Poza tym dziś jest środa – zauważam.

– Odrabiam przysły wyjazd – odpowiada.

Wychodzę, nie żegnając się.

Adam

Im bardziej dociera do mnie, jak ona nie chce mnie znać, tym bardziej chcę z nią przebywać. To chyba nie jest do końca normalne. Założę się, że podchodzi pod jakiś objaw masochizmu. Miało mnie tu dziś nie być. Przyjechałem zobaczyć, co z jej psem. Przy okazji przyjąłem kilku pacjentów. Ale przyszedłem dla niej.

I co z tego, skoro nadal nie mam pojęcia, co i po co robię? W dodatku musiała zobaczyć mnie w tym fartuchu. A to między innymi moja zasługa, że ona takiego nie nosi. Unoszę dłoń i uderzam nią w ścianę. Dlaczego nie potrafię normalnie powiedzieć, o co mi chodzi? Odwracam się i stoję jak wryty, kiedy widzę stojącą w drzwiach Zuzę.

Czarna koszulka i szorty kontrastują z bladą cerą. Na jej twarzy dostrzegam lekki rumieniec, który może być wynikiem zmęczenia albo wkurzenia. Patrząc w jej stalowoszare oczy i, obstawiam to drugie.

– Gdzie mój rower? – Przechyliła głowę. Krzyżuje ręce na piersiach, zupełnie jakby chciała odgrodzić się ode mnie dodatkową ścianą.

– Zabrałem go do siebie, bo nie był przypięty. Pomyślałem, że ktoś mógłby go ukraść – mówię prawie szeptem. Nie chcę denerwować i tak już wystraszonych zwierzaków.

Ruszając z miejsca, strząsa luźny kok. Włosy opadają na plecy, tworząc długi kucyk, który kołysze się na boki. Patrząc na niego zahipnotyzowany.

– Czyli wychodzi na to, że to ty go ukradłeś. – Staje nie więcej niż trzydzieści centymetrów ode mnie. Przełykam ślinę tak głośno, że niemożliwe, by tego nie usłyszała. – Zresztą nieistotne. Potrzebuję go. Najpóźniej jutro rano.

– Jasne. Podaj mi tylko adres i przywiozę go do twojego domu.

Wyciągam telefon, żeby zapisać jej dane, choć i tak dobrze wiem, gdzie mieszka.

– Zapomnij. – Odsuwa się kawałek. – Nie powiem ci. I tak nie mam co robić. O której kończysz?

– Właściwie to już jestem wolny. Przebiorę się i możemy jechać.

Robię krok do przodu, ona zaś trzy do tyłu. Podchodzi do okienka i raz jeszcze spogląda na śpiącego pupila.

– Czekam na zewnątrz – mówi i, nie patrząc na mnie, kieruje się do wyjścia.

Oczywiście zabrałem ten rower celowo. Miałem tylko nadzieję, że nie zgłosi kradzieży. Ostatecznie monitoring z parkingu przed kliniką ujawniłby, co się z nim stało. Zaciskam spocone z nerwów dłonie na szarej koszulce i wciągam ją przez głowę. Dziwne. Jestem całkowicie opanowany, gdy przeprowadzam operację na małym organizmie, a jednak tracę panowanie nad sobą przed rozmową z dziewczyną, którą kiedyś znałem.

Przechodzę przez biały korytarz i wchodzę do pustej już poczekalni. Nieczęsto mam możliwość zaznać spokoju w tej czy drugiej klinice. Przerzucam torbę przez ramię i po kilku sekundach jestem już przy przeszklonych drzwiach. Ależ mam ochotę teraz zapalić. Znów sięgam po gumy i wpycham trzy naraz do ust. Te drażetki są zdecydowanie zbyt małe.

Staram się nie wpatrywać w nią zbyt intensywnie. Wiem, że wystarczy jeden nieodpowiedni ruch, a nigdzie nie pojedzie. Gotowa będzie zostawić ten rower i kupić nowy, byleby nie mieć ze mną już styczności.

– Wsiadaj. – Podchodzę, żeby otworzyć jej drzwi, jednak mnie uprzedza. – Jasne – bąkam ledwo słyszalnie. Czasem zapominam, jak bardzo mnie nienawidzi.

Zajmuję miejsce kierowcy. Widzę, jak się napina, czując, że jestem blisko. Nieznośna cisza sprawia, że w tak małej przestrzeni słyszać każdy nasz oddech.

– Przykro mi z powodu Gałgana. Przeglądałem jego wyniki i...

– Wiem, co mu dolega. Nie potrzebuję konsultacji i mnie też jest przykro.

Nie patrzy na mnie, ale widzę, jak zaciska powieki, próbując powstrzymać łzy. Nie ma co! Potrafię zagadać pogodnie i przyjaźnie. Karcę się za to w duchu. Już nabieram przekonania, że spędzimy kolejny kwadrans w milczeniu, gdy nagle słyszę jej głos, ledwie głośniejszy od szeptu:

– W sumie to chyba nie do końca dochodzi do mnie, że już nic nie da się zrobić. Cały czas liczyłam... – Przerywa nagle i wzrusza ramionami. – Nie wiem sama na co. Chyba na cud.

Przykłada głowę do szyby.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Codziennie spotykam ludzi, których zwierzaki cierpią na nieuleczalne choroby. Sam pochowałem ukochanego labradora, który towarzyszył mi ponad dwanaście lat. Nie istnieją słowa potrafiące ukoić smutek kochającego właściciela.

– Wiem, że cokolwiek bym powiedział, i tak cię nie pocieszę – wypalam, patrząc cały czas na drogę.

– Taaa... – Wzdycha i opiera głowę o zagłówek.

Kolejne dziesięć minut drogi wydaje się być najdłuższym okresem w moim życiu, który na domiar złego upływa w całkowitym milczeniu.

Zuza

Delikatnie podskakujące auto niemal mnie usypia. Gdybym tylko mogła poczuć się swobodnie, zapewne już bym spała, a z ust płynęłaby mi strużka śliny. Masuję obolałą szyję. Ten dzień naprawdę dał mi w kość. Co prawda ból głowy odpuścił, jednak całe ciało wciąż jest napięte i domaga się rozluźnienia. Tego jednak, siedząc obok Adama, na pewno nie osiągnę.

Minęło dwanaście lat. Byłam przekonana, że po pierwsze uporałam się z tamtymi wydarzeniami, a po drugie – ku mojemu zadowoleniu – nigdy już nie będzie mi dane spotkać ani Adama, ani jego przyjaciół. Jak widać, bardzo się pomyliłam. Unikam patrzenia na niego za wszelką cenę, co w ciasnym wnętrzu samochodu okazuje się niemal niemożliwe. Moje spojrzenie mimowolnie wędruje więc w stronę towarzysza podróży. Ha! „Towarzysza” – jak absurdalnie to brzmi w tej sytuacji!

Ma trochę za długie włosy. Zdecydowanie powinien skrócić grzywkę, bo lada moment zacznie mu przeszkadzać w pracy. Zaciska wargi, przez co wydają się nieco węższe, niż je pamiętam. Za to brązowe oczy wpatrzone w drogę nadal potrafią przyprawić o dreszcze.

A we mnie – wzbudzić dyskomfort i przerażenie.

Ścisła dłoń na kierownicy, a w mojej głowie – wbrew woli – odżywa wspomnienie. Ten jedyny raz, kiedy jego palce zaciskały się na moich ramionach, udach... Szczypię się w nogę, by odgonić natrętne myśli.

– Jesteśmy. – Dociera do mnie jego miękki, i stanowczo zbyt miły, głos.

W ogóle jest podejrzanie uroczy. Nie wzbudza tym mojego zaufania. Wręcz przeciwnie, jestem przekonana, że nadal jest tym samym

skurwielem, którym okazał się dwanaście lat temu. Założył po prostu ładniejszą maskę. Chwytam za klamkę i praktycznie wyskakuję z auta. Nie chcę przebywać z nim w tej pieprzonej puszcze ani chwili dłużej. Zbieram włosy w kitkę i kieruję się w stronę ogrodu. Wiem, że zachowuję się jak tchórz. Raz próbowałam być dzielna. Gówno z tego wyszło.

Muszę jednak przyznać, że ogród wygląda bajkowo. Szczególnie o tej porze dnia, kiedy słońce powoli zachodzi i obrzuca wszystko swoimi pomarańczowymi promieniami. Nie jest to bynajmniej miejsce zadbane. Przypomina raczej mały, zapomniany zagajnik. Czuję mimowolne ukłucie zazdrości na myśl, że po tym wszystkim Adam może się relaksować w swoim prywatnym parku, a ja w tym czasie jestem w stanie co najwyżej wyjść na wynajmowany, południowy balkon.

Wyprzedza mnie nagle i odwraca się na pięcie. Boże, jak zwodnicza potrafi być ta jego chłopięca uroda. Zupełnie nie wygląda na swoje trzydzieści pięć lat. *Walić go*. Szybko wymijam drzewo, o które nonszalantko opiera plecy.

– Poczekaj chwilę – prosi.

„Poczekaj chwilę”? Przecież na moje prośby pozostał głuchy. Mam go w dupie!

– Gdzie jest ten pieprzony rower?! – denerwuję się.

Drażni mnie jego obecność. Jego oczy, ręce, zapach. Nawet sposób, w jaki chodzi. Wszystko to przypomina mi, jak bardzo mnie zawiódł.

Łapie moją rękę. Energicznie wrywam dłoń i ląduję na ziemi. Jakby mało było mi dziś upokorzeń, smutku i żalu – musiałam dołożyć do tego jeszcze wstyd i zażenowanie.

Nachyla się nade mną i podaje pomocną dłoń. Brązowe oczy przewiercają duszę na wylot. Nie chcę tego. Nie pozwolę mu znów zajrzeć w głąb mnie. Zresztą sama nie wiem, czy w ogóle coś tam jeszcze zostało.

– Nie denerwuj się – mówi cicho i spokojnie.

Kurwa, spokojnie. On mnie uspokaja.

– Odpierdol się wreszcie ode mnie, dobra!? Oddaj mi rower i święty spokój – mówię przez zaciśnięte zęby. W końcu wstaję, przez co wraca do mnie choć odrobina opanowania.

– Poczekaj! Rozumiem...

– Posłuchaj – brzmie na stanowczo bardziej pewną siebie, niż się czuję. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Zresztą z tego, co pamiętam, ty ostatnio powiedziałeś mi to samo, tylko bardziej dosadnie. – Zauważam rower i kieruję się w jego stronę.

– Wiem, że wtedy zjechałem. Wiem. Chcę to naprawić – kontynuuje ten swój, pożałuj Boże, wywód.

Nie wytrzymuję. Podchodzę i popycham go z całej siły. Teraz mogłabym go nawet zabić.

– Co naprawisz?! Co?! – krzyczę. – Powiedz mi, którą rzecz sprzed tych wszystkich lat chcesz naprawić? Co sprawi, że nagle cofnę się w czasie i nie pójde na tę imprezę? – Zdaje się, że płaczę, ale nie potrafię już tego rozpoznać. – A może to, że zostawiłeś mnie samą? Że miałeś na mnie, kurwa, wyjebane?! – Widzę, jak próbuje zebrać myśli. Niemal słyszę trybiki w jego głowie, które kręcą się w kółko. – No właśnie – ciągnę niezmordowana i po chwili wsiadam na rower. – Niektórych rzeczy nie można już naprawić.

Nie oglądam się za siebie.



Rozdział 3

Zuza

9.06.2012

– Jakoś dziwnie się w tym czuję – mówię, wykonując kolejny obrót przed wysokim na dwa metry lustrem. – To jest za krótkie – mamroczę pod nosem, wskazując dłonią opinające tyłek granatowe szorty. – Chyba jednak się przebiorę – stwierdzam, obciążając ledwo zakrywający pośladki materiał.

Spoglądam na siostrę, której wyraz twarzy podkreśla, jak bardzo się ze mną nie zgadza. Martyna przechodzi przez pokój, aby usiąść w żółtym jak jej tenisówki fotelu. Niemal białe włosy przeczesuje palcami i odgarnia do tyłu. Marszczy perfekcyjnie wyskubane brwi, a usta zwija w zachęcający do cmokania rulonik. Oczami zaś gromi i ocenia.

– Nie przesadzaj – rzuca obojętnie, machając przy tym ręką. – Nie idziesz do kościoła. – Wskazuje za okno, jakby znajdowała się tam przywołana świątynia. – Nic się nie stanie, jeśli w końcu pokażesz nogi. Poza tym i tak będziemy tam pewnie tymi bardziej skromnymi. – Wstaje i podchodzi do mnie. Patrząc w lustro, poprawia wpadającą do błękitnych oczu grzywkę. – Musisz jakoś zwrócić uwagę Adama. – Łapie mnie za ramiona i obraca trzy razy. – Czaisz się tak długo, że nawet mnie zaczyna to nudzić. Łazisz i wzdychasz. No ile można? – pyta retorycznie, malując przy tym pełne wargi pachnącą malinami pomadką.

– Nawet nie wiem, czy chcę tę uwagę zwracać – komentuję słowa siostry, na co zyskuję kolejne już zde gustowane spojrzenie. – To jest za krótkie, no! – wołam, usiłując rozciągnąć niewspółpracujący materiał.

– Jest lato – artykułuje jak do pięciolatki Martini. – Krótkie spodenki są normalne. Tylko ty myślisz, że to jakaś ekstrawagancja.

Słyszając jej słowa, ponownie na siebie spoglądam. Niechętnie muszę przyznać Martynie rację. Patrząc z boku, mój strój wydaje się całkiem normalny. Ot, letnia, wygodna stylizacja wybierana przez większość damskiej części społeczeństwa. Jeansowe szorty, czarna koszulka bokserka i pastelowo różowe sportowe buty. Wszyscy się tak ubierają, ale tylko ja jestem tak błada, że odbijające się od mojej skóry słońce oślepia wychodzących na ulicę przechodniów. Moja siostra swoją błądź docenia i traktuje jako atut. Ja postrzegam to zupełnie inaczej. Nie mam większego kompleksu ponad mój biały jak mąka tyłek.

– Przestań już wielce rozmyślać – upomina, szturchając mnie w ramię. – Wyglądasz zajebiście i tyle.

Przeczესuję długie falowane włosy palcami i roztrzepuję je nieco u nasady.

– Dobra, chodźmy, bo się rozmyślę i zostanę w domu – mówię niewyzbytym z rezygnacji głosem. Sięgam po telefon i portfel.

– Klucze?

– Szuflada. – Wskazuję głową na stojącą przy drzwiach szafkę.

Wychodzę na klatkę i przystaję w oczekiwaniu, aż siostra zamknie drzwi mieszkania.

– Już zadzwoniłam po taksówkę – oznajmia, ruszając przodem. – Zaraz powinna być. Pokaż no. – Odwraca się. – Nie jest źle – stwierdza, na co posyłam jej lekki uśmiech. – Ja bym na ciebie poleciała. – Unosi wymownie brwi.

– Super – rzucam z udawanym zachwytem. Przyspieszam kroku. Po chwili otwieram drzwi wejściowe do klatki.

– Masz spray na komary? Bo nie chciałabym wracać do domu za pół godziny – pyta doganiająca mnie Martyna.

Przytakuję, na dowód wyciągając z torebki małą butelkę.

– O, jest taksówka. – Macham dłonią przyglądającemu się nam kierowcy. – To jedziemy.



Opieram czoło o szybę i odklejam spocone uda od skórzanej tapicerki wiozącego nas forda. Zamykam oczy, starając się zdusić wypełniający głowę niepokój.

Jestem na pierwszym roku, który w całości poświęciłam na zakuwanie. Poza tym oprócz znajomych z weterynarii nikogo więcej nie zdążyłam poznać. Gdyby nie odwiedziny siostry, na bank nie poszłabym na tę imprezę. Zostałabym w dusznym, ale dającym poczucie komfortu mieszkaniu.

– Pewnie będzie. Co myślisz?

Martini pyta o Adama. Oczywiście. Wystarczył jeden raz, gdy napomknęłam, że jest całkiem fajny, aby stał się nie tylko moją miłością, ale chyba też przyszłym mężem. Według niej. Ja wolę patrzeć z daleka. Skryte podziwianie jest zdecydowanie bardziej komfortowe niż narażenie się na odrzucenie i związane z nim kpiny.

– Mhm. Chyba nawet to organizuje – odpowiadam, nie odwracając wzroku od malowanej zaciekami po wczorajszym deszczu szyby. – Tak przynajmniej słyszałam.

– To może się uda. Ładnie wyglądasz. Zmienisz wyraz twarzy na mniej wystraszony i kto wie? – mówi, na co zanoszę się gromkim, kłującym w uszy śmiechem.

– Weź już skończ – upominam ją, przewracając przy tym szarymi jak mój nastrój oczami. – Przecież on nawet nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Widziałaś, z kim się spotyka? Na przykład tę blondynę?

Martyna otwiera usta, jednak nim zdążyła mnie wyzwać, dociera do nas głos kierowcy:

– Proszę bardzo. Jesteśmy na miejscu – informuje, po czym przyjmuje od Martini banknot pięćdziesięciozłotowy.

Wsiadam z taksówki tuż za siostrą i razem podążamy wzrokiem w kierunku przygotowanego na imprezę parku. Prezentuje się bajkowo z zawieszonymi na drzewach lampionami. Drewniane stoły zostały

ozdobione polnymi kwiatami, zapewne niedawno zerwanymi. Drapiące nogi siedziska przykryto miękkimi granatowymi poduchami. Jest dopiero dwudziesta, więc przytulnej atmosfery nie psują krzyki nietrzeźwych studentów.

– Dobra, już się tak nie czaj. Idziemy. – Martyna ciągnie mnie w kierunku imprezy. – Zapowiada się całkiem spoko.

Teraz

Jezu, cicho. Wyciągam rękę w poszukiwaniu budzika. Wsuwam dłoń pod spoconą poduszkę i staram się natrafić palcami na irytująco brzęczące urządzenie. Gdy w końcu udaje mi się je odnaleźć, okazuje się, że to nie ono spowodowało nieszczęsną pobudkę. Podpieram się na łokciach i siadam na zdecydowanie zbyt miękkim materacu. Unosząc niestabilnie ciało, wyglądam za okno. *No tak* – myślę, łącząc ziewnięcie z przeciągłym westchnieniem. Powinna przyzwyczać się do sąsiadów ogrodników, których hobby to zapierniczanie o siódmej rano z dzierzoną w dłoniach piłą łańcuchową i podcinanie tui na swoim ekskluzywnym „RODOS”.

Zrezygnowana opadam na bolące od niewygodnej nocnej pozycji plecy. Leżę jeszcze chwilę, kontemplując, którego dnia tygodnia obudziłam się tym razem.

Tak jak planowałam, wczoraj zakupiłam wino. Z przebieżki wróciłam zaryczana, wkurzona, trzymająca rower i z wciśniętymi pod pachę dwiema butelkami „luksusowego”, bezkorkowego Fresco. Wypiłam prawie wszystko, po czym odpłynęłam.

Na moment udało mi się zapomnieć nie tylko o Adamie, ale też o chorobie Gałgana. I choć wiem, że alkohol nie rozwiąże moich problemów, to wczorajszy dzień był zbyt traumatyczny, nawet jak na mnie. A nie do końca udanych dni zdążyłam już doświadczyć całkiem sporo.

Odrzucam kołdrę i zauważam, że wino zadziałało tak dobrze, że nie zdążyłam się nawet przebrać. Podnoszę telefon, który wskazuje siódmą rano. Wstaję z myślą, że szanse na dalszy sen odeszły w zapomnienie

za sprawą miłego pana spod dziewiątki i jego nowej kosiarki. Aby zmusić mózg do działania na nieco wyższych obrotach, postanawiam wypić kawę. W liczbie dwóch filiżanek.

Odpalam ekspres, a gdy ten wydaje charcząco-brzęczącą melodię, dochodzę do wniosku, że pora na prysznic. Zostawiam kuchnię na rzecz łazienki. Wchodzę do brodzika i odkręcam zimną wodę. Cofam się instynktownie, kiedy lodowaty strumień dotyka mojej białej jak mleko, pokrytej piegami nogi. Zaciskam zęby z myślą, że chociaż pokonało mnie życie, niekoniecznie musi zrobić to też chłodna woda.

Z tym przekonaniem pozwalam strumieniowi obmywać rozgrzane ciało. Zgodnie z planem chłód sprowadza mnie na ziemię i przypomina o wszystkim, o czym tak bardzo chciałam wczoraj zapomnieć. Bardzo dobrze. Pora na użalanie się i narzekanie na niesprawiedliwość losu jeszcze nadejdzie.

Skończywszy zimne biczowanie, wyskakuję z kabiny i sięgam po leżący na płytkach ręcznik. Wycieram się do sucha i wracam do kuchni, już na powrót spocona, by skosztować czarnej jak smoła i gorzkiej jak moje żale kawy. Zaraz potem łapię w dłoń majtki i sportowy biustonosz. Na to wkładam szorty i szarą koszulkę. Stopy wsuwam w białe buty. Gotowa na kolejny wymierzony od życia policzek, wychodzę z domu.

Równy o ósmej przekraczam próg kliniki. Rozglądam się nerwowo w obawie przed spotkaniem Adama. Widząc same znane twarze, dużo spokojniejsza ruszam do gabinetu weterynarza. Kiedy tylko mnie zauważa, wychodzi, by po chwili wrócić z całkiem energicznym Gałganem. Futrzasta kulka podbiega do mnie i zaczyna znaczyć moje nagie łydki setką małych liźnięć. Ja zaś tylko patrzę w dół, nie mogąc powstrzymać potoku spływających po policzkach łez. Biorę psiaka na ręce. Na widok jego na nowo lśniących oczu tłumiony płacz zamienia się w niepomahowany szloch.

– Wydaje się czuć dużo lepiej – mówi przyzwyczajona do moich łez doktor Marta. – Jeden guz na wątrobie się rozpadł. Drugi pozostaje bez zmian. – Podsuwa mi pod nos zdjęcie z obrazem nic mi niemówiącego

USG. – Wraz z lekami dostanie pani preparat hamujący krwotok. – Podaje mi kartkę z rozpisany harmonogramem. – Jeśli będzie działało się coś złego: uporczywe, podbarwione krwią wymioty, czarna lub czerwona biegunka, proszę dzwonić, a najlepiej przyjechać. Nie powinno go nic boleć. Dostał już dziś zastrzyk przeciwbólowy. Daję pani też dodatkowe, w razie potrzeby. Nie chcemy, aby cierpiał. – Na koniec poklepuje siwiejący łepiek Gałgana i posyła mi współczujące, ale też pełne zrozumienia spojrzenie.

– Dziękujemy – mówię w imieniu swoim i wyrywającego mi się z ramion psa. – Oby było jak najdłużej dobrze – dodaję, uśmiechając się lekko. Chwilę później wychodzę z gabinetu.

Gdy stoję przy recepcji, czekając na uregulowanie płatności, kątem oka zauważam wychodzącą z korytarza postać Adama. Widać jego tydzień składa się z samych piątków. Tym razem do mnie nie podchodzi. Omawia stan zdrowia zwierzaka z zadowoloną właścicielką zdecydowanie wkurzonego kota. Czuję spojrzenie brązowych oczu, więc speszona odwracam wzrok.

– Bardzo proszę. Już można – mówi recepcjonistka.

Wedle polecenia zbliżam kartę do terminala. Nim się orientuję, będący w lepszej kondycji Gałgan zeskakuje mi z rąk i – a jakżeby inaczej – biegnie prosto do Adama. *Kurwa*.

– Gałgan! – wołam pupila, który moje słowa ma głęboko w czarnym nosie.

– Oj, pieski zawsze wyczują dobrego człowieka – stwierdza rozmówczyni Adama, na co resztkami silnej woli zmuszam się do zduszenia chcącego uciec z moich ust parsknięcia.

Podchodzę do rozmawiających, kucam i usiłuję złapać skaczącego, wbrew zaleceniom, zwierzaka.

– Oj, jaki słodki – komentuje jego zachowanie nieznajoma. – Nic dziwnego. W końcu pan Dobrowolski jest najlepszy – świergocze, trzymając w rękach transporter z coraz bardziej rozsierdzonym kotem.

– Miło mi to słyszeć, jednak ten wkurzony stan Hektora to zasługa całego personelu – odpiera kurtuazyjnie Adam.

– I skromny – kontynuuje nieprzerwany potok komplementów, a jej twarz robi się coraz bardziej różowa. Chwilę później sięga do torebki po dzwoniący w niej telefon. – Aj. Praca wzywa – podkreśla, odrzucając połączenie. – Jestem Magda. – Wyciąga dłoń do, jak widać, weterynarza wszech czasów, kompletnie ignorując przy tym moją obecność.

Przezroczysta, oczywiście.

– Bardzo mi miło – mówi Adam, nie spuszczać ze mnie oczu. – Ale muszę wracać do pracy – ucina średnio dyskretny podryw zauroczonej nim Magdaleny.

– Tak, oczywiście, do zobaczenia – rzuca kobieta, po czym wraz z kotem zabójcą kierują się do wyjścia z przychodni.

Zaskoczona bezpośredniością nieznajomej odprowadzam ją wzrokiem. Gdy znika z pola widzenia, wlepiam spojrzenie w udającego plaster psa.

– Hej – mówię niemal szeptem i kręcę głową na widok Gałgana przytulonego do opalonej męskiej łydki.

– Widzę, że już mu lepiej – stwierdza Adam, po czym kuca i drapie psiaka po znów wygolonym brzuchu.

– Tak. – Wzdrygam się, gdy czuję spływające po plecach krople chłodnego potu. Przygryzam lekko zdrętwiałe z nerwów wargi.

– No, dawaj do pańci, młody – nakazuje Gałganowi. Zabiera mi z dłoni smycz i przypina do kolorowych szelek. – Proszę – mówi, podając mi równie barwną co szelki linkę. – Lepiej niech tak nie biega.

Znów zbyt długo patrzę mu w oczy. Szybko odwracam wzrok, czując, jak szkarłatny rumieniec oblewa moją twarz.

– Dzięki – rzucam o dziwo spokojnie. Jestem pewna, że to jedynie lepszy stan pupila sprawia, iż nie trzęsę się teraz jak wystawiona na działanie wiatru osika. – Przepraszam za wczorajszy wybuch – dodaję tak cicho, że aż ledwo słyszalnie.

– Nie ma za co. – Wsuwa dłonie w kieszenie fartucha. Staje w lekkim rozkroku i zaczyna bujać się w przód i tył. – Masz pełne prawo być na mnie zła...

– Tak, wiem – przerywam mu w połowie zdania. Podchodzę bliżej, by oszczędzić nowo przybyłym szczegółów naszej i tak już wystarczająco krępującej rozmowy. – Ale niekoniecznie muszę się tak zachowywać. Powinnam być bardziej opanowana. Poniosło mnie. Jesteśmy dorośli. Leczę tutaj Gałgana od dawna, dlatego lepiej będzie przywyknąć do twojej obecności. – Kucam i ponownie biorę zwierzaka na ręce. – Pa – mówię i odwracam się na pięcie.

Gdy robię krok w przód, czuję na ramieniu ciepłą dłoń Adama.

– Chciałbym z tobą pogadać, jeśli oczywiście zechcesz.

Za sprawą tej prośby odwracam się lekko w jego stronę. Adam wpatra się we mnie wyczekująco.

– Chyba nie bardzo mamy o czym rozmawiać, wiesz? – odpowiadam. – Moje odczucia nie uległy zmianie.

– Tak, wiem. Ale chodzi o coś innego. Mogę później do ciebie zadzwonić? – Wbija we mnie te swoje ciemne, pełne nadziei oczy.

Wiem, że absolutnie nie powinnam godzić się na żadne spotkanie. Jedyne, co może mi ono przynieść, to więcej nerwów w tej i tak już tragicznej sytuacji. Tylko że, jeśli chodzi o Adama, słuchanie głosu rozsądku nie jest i nigdy nie było moją mocną stroną. Toteż zamiast powiedzieć, że ma się z łaski swojej odpieprzyć, wypalam:

– Dobra. Numer znajdziesz w kartotece. – Przyciskam psa mocniej do siebie. – Pa.

Zanim się odwracam, widzę jego lekko uniesione kąćki ust.

Adam

Dzień w pracy upływa bardzo szybko. Zresztą jak zawsze. Dopiero o dziewiętnastej, gdy wychodzę z kliniki, mogę na spokojnie zadzwonić

do Zuzy. Poranną rozmowę muszę nazwać ogromnym postępem. A już pozwolenie na telefon zaliczam do kategorii cudu.

Przemierzam parking, mrużąc nieprzyzwyczajone do słońca oczy. Podchodzę do auta i krzywię się na samą myśl, jak bardzo rozgrzane musi być jego wnętrze. Otwieram drzwi, zajmuję miejsce za kierownicą i zapinam pas. Wyciągam z kieszeni komórkę oraz kartkę z numerem Zuzy. Drżącymi palcami usiłuję wystukać na ekranie ciąg tańczących przed oczami cyfr. Zbyt duży kciuk sprawia, że myślę się dwa razy, zanim wybieram prawidłową kombinację liczb.

Zadziwia mnie odczuwane w tej chwili zdenerwowanie. Nigdy nie narzekałem na brak pewności siebie, szczególnie w kontaktach z kobietami. Nawet Zuza, kiedy się poznaliśmy, uległa mi niemal od razu. Teraz jednak, ku mojemu niezadowoleniu, jest na mój urok całkowicie odporna. A ja, jak widać, jeśli chodzi o nią, nie jestem już tak pewny siebie.

Klikam zieloną słuchawkę i przykładam telefon do ucha. Czekam – pierwszy sygnał, drugi i trzeci. Przy czwartym zaczynam odczuwać dyskomfort. Piąty sprawia, że niemal daję za wygraną.

– Tak, słucham – odbiera cicho Zuza. – Halo? – dodaje nieco głośniej, kiedy milczę. – Jezu, te nieznane... – słyszę po drugiej stronie.

Boję się, że się rozłączy, więc niemal krzyczę:

– Hej, tu Adam! Dzwonię, jak się umawialiśmy! – Jestem pewien, że drę mordę. W oczekiwaniu na odpowiedź zaciskam palce na nadpobudliwym kolanie.

– Słyszę – stwierdza, nie ułatwiając mi sprawy.

– Tak. – Chrząkam i obrzucam wnętrze auta rozbieranym spojrzeniem, zupełnie jakby rozmówczyni siedziała tuż obok. – Nie będę ukrywał, że wołałbym się spotkać. Nie lubię załatwiania spraw osobistych przez telefon – wyduszam z siebie na jednym wydechu, z pewnością opluwając przy tym pół telefonu.

– Ale my nie mamy spraw osobistych – rzuca beznamiętnie, na co przytykam się na dłuższą chwilę.

Pocieram dłonią szorstki policzek, zaraz potem przenoszę rękę na zeszywniały kark i go masuję.

Po chwili Zuza przerywa przyprawiającą o duszności ciszę:

– Dobra... i tak muszę iść na spacer z Gałganem. Masz mój adres?

– Tak, mam – odpowiadam z marszu, uwidaczniając tym samym, jak wysoki jest poziom mojej desperacji.

– To za godzinę – informuje oschle. – Zadzwoń, wtedy zejść.

Nim zdążę się odezwać, słyszę wybrzmiewające z ust Zuzy „pa”. I się rozłącza.

Odpalając auto, zaczynam się zastanawiać, czy spotkanie, na które zmierzam, jest dobrym pomysłem.

Adam

9.06.2012

– Masz wszystko? – pyta mój jedyny przyjaciel Paweł, przechodząc z pokoju do kuchni. Przystaje pośrodku pomieszczenia i rzuca mi pytające spojrzenie. – A tobie co? – docieka, krzyżując ręce na piersiach.

Rozsiadam się wygodniej w fotelu, wyciągam i odpalam kolejnego już skręta. Przykładam białe zawiniątko do spierzchniętych warg. Zaciągam się, robiąc kilka małych wdechów. Odchylam głowę, starając się przytrzymać dym w płucach na tyle długo, aż gryzący ból zmusi mnie do otwarcia ust.

– Nowe, uważaj. Dziwnie zajeżdża – stwierdza, przejmując ode mnie zioło. – Ale kopie mocno, co?

– Taaa – odpowiadam, odkasłując resztki gryzących gardło oparów. – Jakby to, kurwa, w krecie wymoczyli – dodaje, upijając potężny łyk soku pomarańczowego.

– Chuj, gorsze paliliśmy. Ważne, że działa. Mam jeszcze piątkę. – Wyciąga z kieszeni przezroczysty woreczek.

– Weź go sobie zawieś na szyi. Dawno cię nie zawijali – komentuję jego poczynania. – Nie dojedziesz na ten swój bal czy chuj wie, co tam wymyśliłeś.

– Plener. Wóda. Impreza – wymienia, wychodząc z salonu. – Do tego zioło i pewnie dobre ruchanie! – woła z korytarza. – Tylko ty możesz na coś takiego narzekać.

Przewracam oczami i przeciągam się, rozwierając usta w potężnym ziewnięciu.

Nie tak miał wyglądać ten wieczór. To właśnie mój nadpobudliwy współlokator postanowił z posiadówki przy wódzie z najbliższymi znajomymi zrobić imprezę lata dla ludzi, których nawet nie zna. I idę o zakład, że dziś również zbyt wielu nie pozna.

– Ile mamy wódki? – pyta, wyłaniając się z ciemnego przedpokoju.

– Tyle, ile mieliśmy mieć – bąkam pod nosem, jednak na tyle głośno, żeby mnie usłyszał.

Podchodzi bliżej i raczy mnie kopniakiem w łydkę.

– Weź już przestań być taki przyjebany – mówi, ponawiając kopnięcie. – Dopalimy resztę, wypijemy i mam nadzieję, że humor ci wróci, bo taki zamulony będziesz mnie tylko wkurwiać. – Podaje mi kolejnego, już rozpalonego skręta.

Zaciągam się mocno, po czym ponownie zaczynam kaszleć.

– Kurwa, to chujstwo jest na bank trujące – stwierdzam, nie przerywając kasłania.

– Okaże się. – Wzrusza ramionami Paweł, pakując do paczki po papierosach kilka skrętów. Dokłada szklaną lufkę i parę pigułek. Chowa całość w wewnętrznej kieszeni kurtki, która za cholerę nie pasuje do panującego na zewnątrz upału. – Dobra, lecimy – nakazuje, ponaglając mnie skinieniem blond głowy.

Rzuca mi granatową bluzę z kapturem, a sam bierze klucze. Zanim wyjdę, przystaję w przedpokoju, by spojrzeć w lustro. Może i nie jestem zachwycony imprezą, jednak to nie oznacza, że mam zamiar wracać

dzisiaj do domu sam. Skoro już będę się użerać ze studentkami pierwszego roku, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym jedną sobie ogarnął.

– Dobra, kurwa, piękny jesteś. – Ciągnie mnie za rękaw przyjaciel, stojąc już przy drzwiach.

Poprawiam bluzę i wychodzę z mieszkania.

– Przekręć też dolny! – wołam.

Zbiegam w dół, przeskakując po dwa schodki. Nie mija pół minuty, a wypadam z klatki schodowej. Przystaję i ściągam bluzę, gdy uderza mnie fala wywołującego mdłości gorąca.

– Już są. – Paweł wskazuje skinieniem głowy na zaparkowanego nie-daleko lexusa.

Bez słowa zmierzamy w jego stronę.



Gdy docieramy na miejsce, zdaje się być odrobinę chłodniej. Jeśli ktoś nadal zastanawia się nad tym, czy ocieplenie klimatu jest faktem, to niech spojrzy na czerwcowe temperatury. Trzydzieści trzy stopnie o tej porze roku to zdecydowanie nie jest normalne.

– Łap – odzywa się Paweł. Podaje mi kilka małych różowych pigulek.

– Po chuj mi to? – pytam. Wzruszam przy tym ramionami i unoszę brwi na znak nie tylko zniecierpliwienia, ale też braku akceptacji dla tego rodzaju używek.

Nie jestem zwolennikiem takich dragów. Owszem, lubię przypalić skręta, często więcej niż jednego, ale to tyle. No, może poza zeszłoroczną sesją, kiedy to wyczerpany musiałem wspomóc organizm odrobiną białego proszku. Poza tym jednym razem – nic. Jako dzieciak mieszkający z rodzicami i bratem ojca w dwupokojowym mieszkaniu pamiętam wiecznie naćpanego wujka, który pomimo najlepszych chęci dawał zawsze najgorszy przykład. Nikt nie wie, gdzie teraz jest i czy w ogóle żyje. Jedno muszę mu przyznać: dał mi lekcję, dlaczego warto trzymać się z dala od narkotyków.

– Nie wiem, może nagle ci się zachce. Weź te. – Wciska mi małe zawiniątko do tylnej kieszeni spodni.

– Spoko – bąkam, nie patrząc w jego stronę.

Gdyby wiedział, jak wiele razy ignoruję jego obecność, nieźle by się wkurzył. Ale ze swoim wyjebanym do samego nieba ego nie ma szans, by ogarnął, że ktoś może nie mieć ochoty słuchać jego gadania.

Obrzucam szybkim spojrzeniem przystrojony specjalnie na tę okazję park. Na ogół przesiadują tutaj studenci, okupując specjalnie wyznaczone strefy na piknik czy ognisko. Teraz cały teren został obwieszony lampionami, które dodają temu miejscu nutę tajemniczości. Paweł zorganizował nawet stoliki i krzesła rozstawione zupełnie jak na jakimś wiejskim weselu. Pojęcia nie mam, skąd wytrzasnął stojące w wazonach chabazie, ale wyglądają całkiem dobrze.

Mimo wczesnej pory większość miejsc siedzących jest już zajęta. Omiatam spojrzeniem gęstniejący tłum. Po krótkiej obserwacji bawiących się osób dochodzę do wniosku, że nie znam praktycznie nikogo z obecnych tu ludzi. Nic w tym zadziwiającego, jakoś specjalnie nie dążę do zawierania nowych przyjaźni.

Nagle mój wzrok zatrzymuje się na lśniących włosach. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wcześniej widział taki kolor. Są długie i dość mocno pofalowane. Unoszą się i opadają pod wpływem coraz silniejszych podmuchów wiejącego wiatru. Doskonale kontrastują z jasną skórą właścicielki, która nieświadoma tego, że się jej przyglądam, odwrzuca je na bok, sprawiając, że mam ochotę patrzeć już nie tylko na jej włosy, ale i na nią.